ROZMOWA z Barbarą Krafftówną, aktorką

ZASIEDZIAŁAM SIĘ w Ameryce

– Czy wróciła już pani na stałe z Ameryki do kraju?

– Ależ ja nigdy nie wyjeżdżałam na stałe do Ameryki. Trochę się tam tylko zasiedziałam. W ciągu ostatnich dziesięciu lat do Ameryki jeździłam jedynie zimą, w czasie najzimniejszych miesięcy. Poza tym mieszkam i pracuję w kraju.

– Co panią skłoniło, aby w latach osiemdziesiątych wyjechać za ocean? Powody polityczne?

– Nie, choć mój wyjazd zbiegł się w czasie z wielką falą emigracji po stanie wojennym. Wyjeżdżałam z powodów artystycznych. Podjęłam się bowiem fenomenalnego eksperymentu pracy z grupą młodych aktorów z Los Angeles, którzy byli wessani przez Witkacego. Stało się tak, bo w tym czasie uchodziłam za modelową aktorkę witkacowską, więc zaproponowano mi główną rolę Matki w „Matce" Witkacego.

– Jak sobie pani poradziła?

– Nauczyłam się roli fonetycznie, posługując się tekstem nagranym przez mężczyznę mówiącego bardzo ładną angielszczyzną. Nie znałam wtedy angielskiego. To była benedyktyńska paca. Do tej pory pamiętam, jak wychodziłam na spacer z psem i stałam pod latarnią, ucząc się tekstu zapisanego wołami na kartce. Mocno odchorowałam także ból szczęk, gdy przyzwyczajałam mięśnie do angielskiej wymowy.

FOT. ŁUKASZ CAPAR

Barbara Krafftówna: – Nie mogę się starzeć, bo zbyt dużo ciekawych rzeczy dzieje się wokół.

– A dlaczego korzystała pani z nagrania, w którym tekst mówił mężczyzna?

– Bo chciałam uniknąć przejmowania maniery typowej dla kobiet. Oczywiście później jednak korzystałam z pomocy pani, która uczyła mnie tangielskiej melodii i zlewania słów, bo zależało mi, abym mówiła z jak najmniej rozpoznawalnym akcentem. Starałam się też przenieść na grunt amerykański polski styl Witkacego i jego ideę rozmaitych deformacji.

– Udało się?

– Dostałam nagrodę za rolę, więc chyba tak. Ten sukces spowodował, że później grałam także z amerykańskimi aktorami Gombrowicza, z którymi przyjechałam na międzynarodowy festiwal gombrowiczowski do Radomia.

– Amerykański teatr bardzo różni się od polskiego?

– Tam właściwie nie ma stałych zespołów z zapleczem i obsługą. Sale i pracowników technicznych wynajmuje się tylko na czas spektaklu. Poszczególne sztuki gra się krótko i po niewielu próbach. Amerykańscy aktorzy są przyzwyczajeni do tego, że muszą grać natychmiast i efektownie. W Polsce na przykład bardzo pomocny jest kostiumolog, bo kostium często decyduje, jak gra się jakąś postać. W Ameryce sama sobie przygotowałam kostium do „Matki". Na przykład nakrycie głowy zrobiłam z opakowania po lodach, ale to bardzo się sprawdzało jako sposób na deformowanie rzeczywistości.

– Po powrocie do kraju zetknęła się pani z nową rzeczywistością. Zdziwiło panią, że prawie wszyscy znani aktorzy grają teraz w serialach?

– O tym, że pójdziemy w tym kierunku, było wiadomo, gdy pojawiła się telewizja. Ona zmieniła także publiczność, która po kontakcie z migającymi obrazkami w telewizji ma kłopot ze skupieniem się. Zresztą zmieniło się także aktorstwo. Teraz preferuje się naturalność. Wielu reżyserów wręcz walczy z wszelką teatralnością. W rezultacie aktorzy nie używają wiedzy szkolnej. Skutek jest taki, że często na scenie słychać bełkot. Tak nie rodzi się prawdziwa sztuka, bo ona nie jest naśladowaniem rzeczywistości.

– A ogląda pani telewizyjne seriale?

– W ogóle telewizji nie oglądam. Odkąd parę lat temu popsuł się mój domowy telewizor, odwykłam od niego. Czasem tylko, gdy chcę zobaczyć coś naprawdę ważnego, idę do znajomych. Generalnie nie mam czasu na telewizję. Wolę radio.

– Czy też uważa pani, że niedawna śmierć Gustawa Holoubka miała znaczenie symboliczne?

– Wraz z Gustawem odeszła potęga ducha. To był nasz fantastyczny patriarcha. W ogóle mam wrażenie, że kończy się pewna epoka. Z drugiej strony uważam, że urodziłam się we właściwym czasie, bo choć myślałam, że jestem stworzona do epoki ze zwiewnymi parasolkami, to pracowałam w czasach zgrzebnego PRL-u. Mimo to udawało mi się docierać do takich ludzi, którzy pozwolili mi się rozwijać i z którymi wzajemnie się inspirowaliśmy. Dlatego cieszę się, że pracowałam w Kabarecie Starszych Panów, w kabarecie Pod Egidą, w filmach Wojciecha Hasa, w teatrze Erwina Axera czy Kazimierza Dejmka.

– A jak to się stało, że występuje pani teraz w monodramie poświęconym Marlenie Dietrich?

– Nigdy nie przepadałam za monodramem. Jednak gdy zbliżał się czas mojego jubileuszu, związanego z 60 -leciem pracy na scenie, nie wyobrażałam sobie, że będę tylko siedzieć w fotelu i odbierać hołdy. Zaczęłam więc szukać jakiegoś materiału dla siebie. Wtedy nawiązałam kontakt z Remigiuszem Grzelą. Początkowo miał dla mnie zaadaptować inny tekst, ale gdy się okazało, że ktoś już nad nim pracuje, zaproponował monodram oparty na zapiskach sekretarki Marleny Dietrich z ostatnich 15 lat życia gwiazdy. Uznałam, że to dobry pomysł.

– Monodram to jednak spory wysiłek, wymagający żelaznej kondycji?

– Ćwiczę jogę. Robię to od lat, choć teraz wybieram inne ćwiczenia niż przed laty. Joga to nie tylko ćwiczenie mięśni, ale i mózgu. Dlatego jestem jej wierna. Nie możemy się starzeć, bo zbyt dużo ciekawych rzeczy dzieje się wokół nas.

ROZMAWIAŁ: ZBIGNIEW MARECKI